

## **Peter Sloterdijk: Zsynchronizowany świat. Filozoficzne aspekty globalizacji**

Globalizacja ma dla obywateli państw narodowych taki oto skutek, że przeorientujemy społeczeństwo grubych ścian, można by też rzec: społeczeństwo ciasnego pojemnika, w formę życia, którą wypadłoby określić jako „szczególnie cienkościenną” – pisze Peter Sloterdijk w książce „Co się zdarzyło w XX wieku?”.

Panie i Panowie,

w tym szanownym gronie chciałbym przedstawić pewne przemyślenia w kontekście refleksji nad podstawami – refleksji, która w tym przypadku dotyczy samookreślenia pewnej branży lub gałęzi ekonomii.

Zasadniczo chciałbym opowiedzieć się za głębszym kulturowo i historycznie posadowieniem naszego rozumienia procesu globalizacji, niż to się zwykle dzieje w pospiesznym nurcie interesów i ich odbicia w mediach. Istotnie: rację ma twierdzący, że globalizacja nie jest niczym nowym. Dopiero wtedy ujrzymy obecną sytuację we właściwy sposób, gdy uświadomimy sobie, że Europejczycy od pięciuset lat są cały czas uwikłani w przygodę globalizacji. To stwierdzenie wszakże zmusza też do dodania, że ziemską globalizacja jest równie stara jak ucieczka przed jej skutkami – trwa już pełne pół tysiąclecia, jeśli uznamy pierwszą wyprawę Kolumba z 1492 roku za początek epoki realnie dziejącej się globalizacji. Lęk starszych Europejczyków przed nowo otwartym przestworem świata wyraził się w obawach rolniczych i

fizjokratycznych mentalności przed nadchodzącym przemysłem i morską gospodarką światową. Głównymi antyglobalistami ostatnich stuleci były umysły oceanofobiczne. Dziś tymczasem odczuwamy większą fobię wobec zglobalizowanej giełdy, która w pewien sposób stanowi kontynuację oceanicznej gry na innej płaszczyźnie.

*Europejczycy od pięciuset lat  
są cały czas uwikłani w  
przygodę globalizacji*

Moje badanie  
zaczyna się od tego,  
że etymologiczny  
rdzeń pojęcia  
globalizacji biorę  
poważniej, niż to się

dzieje w publicznych dyskusjach. Niemcy, wraz z Amerykanami, szczęśliwie używają w tej mierze właściwego pojęcia – mianowicie *globalisation* – w odróżnieniu od Francuzów mówiących o *mondialisation* [uświatowienie], co jest pojęciem błędnym. W rzeczywistości bowiem chodzi o globus jako taki. Czym zaś jest globus? Jest przede wszystkim tylko konstrukcją matematyczną, należy więc najpierw do geometrów i filozofów, a dopiero w drugiej kolejności do globografów, kosmografów, a ostatnio do ekonomistów i turystów. Globus na pewno nie ma niemieckiego patentu, nawet jeśli najstarszy zachowany egzemplarz globusa Ziemi, jak może Państwu wiadomo, wykonały niemieckie ręce. Stoi on w norymberskim Germanisches Nationalmuseum – jest to globus, który w pamiętnym 1492 roku wykonał norymberski kupiec Martin Behaim na podstawie portugalskich modeli. Globus przedstawia prekolumbijskie obrysy kontynentów, a więc dawny ptolemejski obraz świata złożonego z trzech kontynentów, ale naniesiony już na właściwej formie, mianowicie na kulistej planecie. Dlatego można powiedzieć, że Behaim miał tak samo rację jak Kolumb. Odkrywanie Ameryki i przedstawianie globusa są więc tym samym działaniem w dwóch osobnych mediach.

Krótko mówiąc, chciałbym zauważyć, że globalizacja była najpierw sprawą starożytnych matematyków. Z tej perspektywy przypada jej w udziale zupełnie inne znaczenie, niż jesteśmy jej skłonni dziś przypisywać. Podstawową bowiem tezę wszystkich dyskusji o globalizacji, znanych pod nazwą metafizyki, można oddać zdaniem: „Forma koła i kuli to rzecz śmiertelnie poważna”. Kula jest najpoważniejszą rzeczą, nad jaką ludzie mogą w ogóle rozmyślać. Dlaczego? Ponieważ w kształcie kuli odkryliśmy środek upewnienia się o formie całości świata; ponieważ kula stanowi jedyny kształt, w jakim można ująć przekonujące racjonalne wyobrażenie kosmosu. To podejście zyskało klasyczną formę w dialogu późnego Platona o filozofii przyrody *Timajos*, gdzie mowa jest o stworzeniu świata przez doskonałego i mądrego stwórcę. Ten sprawca wszystkich rzeczy, będąc najlepszym, nie mógł uczynić inaczej niż nadać swemu pierwszemu dziełu najlepszą ze wszystkich form – dlatego kosmos musiał nieuchronnie przybrać kształt kulisty.

Kosmos jest wszystko zawierającą kulą: to ustalenie filozofii przyrody stanowi faktyczny początek globalizacji. Ostatecznie globalizacji winni są filozofowie. Gdyby więc mieli Państwo kiedyś kłopot ze znalezieniem winnego i gdyby panowie Martin i Schumann oraz pani Forrester, którym zawdzięczamy najskuteczniejszy wkład w demaskację grozy ekonomicznej globalizacji, chcieli zwrócić się do rzeczywistych winnych, to powinni Państwo przekierować ich pod adres filozoficzny i wyjaśnić im, że ekonomiści tylko częściowo odpowiadają za tę sprawę, a cała odpowiedzialność spada, jeśli w ogóle na kogoś, to na dawnych metafizyków i ich nowożytnych spadkobierców.

*Kula jest najpoważniejszą  
rzeczą, nad jaką ludzie mogą  
w ogóle rozmyślać. Dlaczego?*

Ogólny sens  
filozoficzno-  
geometrycznej  
konstrukcji zawierał  
się oczywiście w  
zadaniu wyjaśnienia

ludziom w nowy i wiążący sposób, gdzie są, gdy są w świecie. Pożytek z takiego objaśnienia jest ewidentny: człowiek czuje się zagubiony w świecie, chciałby wiedzieć, gdzie przebywa. Odpowiedź starożytnych metafizyków była pierwszym przekonującym, a może w ogóle najbardziej przekonującym systemem orientacji, jaki kiedykolwiek zaoferowano ludziom w zachodnim świecie. Udzielała bowiem poszukującym rady takiej informacji: „Jesteś, gdziekolwiek byś był, w kuli, z której nie możesz wypaść. Jesteś w pewnej strukturze porządkowej, której opuścić po prostu nie można, ponieważ ta kula właśnie obejmuje wszystko. Jesteś, gdziekolwiek jesteś, na miejscu”. Ta informacja oznacza morfologiczną ewangelię głoszoną przez wczesnych filozofów chcących przemówić uspokajająco do ludzi w niespokojnych czasach, jakimi były stulecia starożytności i późnej starożytności. Filozoficzno-kosmologiczne pocieszenie przekazywało rodzaj dobrej nowiny z owego świata porządku, w którym po części uczestniczymy, gdy oświeconą częścią swojego intelektu zanurzamy się w sferę inteligibilną, podczas gdy resztę nas wchłaniają empiryczne turbulencje.

Globalizacja zaczyna się – wymaga to bliższego rozpracowania – jako rewolucja geometryzacji myślenia, a ściślej jako rewolucja uranometryczna. Kiedy używamy tu wyrażenia „geometria”, nie powinniśmy myśleć o tym, co w kwestii tego pojęcia przekazali nam nasi nauczyciele matematyki. Z reguły bowiem opowiadają nam oni

budującą historię, jak to Egipcjanie próbujący wytyczać pola na zalewanych przez Nil płodnych terenach odkryli sztukę pracy z kątami i promieniami. Nie jest to zupełnie błędne, ale stanowi tylko mniejszą część prawdy. Większą część zawiera fakt, że greccy filozofowie dokonali na niebie odkrycia, pod którego wpływem żyjemy do dzisiaj. Odkryli mianowicie na niebie coś, czego nie ma na ziemi: czysty punkt, bardzo jasny punkt na ciemnym tle. Na ziemi nie ma punktów, za to spojrzenie w niebo nadaje *quasi*-matematycznej idei empiryczną realność, mianowicie że istnieją punkty, z którymi praktycznie nie ma co począć, chyba tylko tworzyć z nich figury geometryczne. Można w myśli przeciągać między punktami linie: od tego odkrycia zaczyna się greckie podejście do geometrii – i jest zupełnie inne niż egipskiego pracownika zgłębiającego muł. Grecy nie są geometrami w ścisłym sensie tego słowa, czyli mierniczymi ziemi, lecz właściwie uranometrami, mierniczymi nieba, którzy swoją pasją do jego struktury wprowadzili nas, Europejczyków, na drogę nauki o całości, nauki pozostającej pod znakiem kuli, tj. kulistego kosmosu. Poza tym Grecy nie mówiliby o globalizacji, lecz o sferyzacji, co w sumie oznacza to samo, ponieważ to, co dla Greków jest *sfaira*, dla Rzymian stanowi *globus*.

Jak od tego punktu wyjścia przedostaniemy się do aktualnych kwestii, które nas w tym kontekście zajmują? Pierwszy trop w takim kierunku już wskazałem, twierdząc, że sensem dawnej metafizycznej wiedzy o globalizacji było odpowiedzenie ludziom na pytania o lokalizację: gdziekolwiek możesz być, jesteś, będąc w największej kuli, na właściwym miejscu. Prawdziwym mędrcom jest ten, kto zrozumiał, że sam wszędzie może funkcjonować tylko jako lokalna funkcja kosmosu. Gdziekolwiek jesteś, jesteś pracownikiem całości. Stanowisz pewien przekaźnik, miejsce przełączenia do Otaczającego. Nie możesz wyjść z całości. Oznacza to poza tym dla starożytnych prekursorów

zglobalizowanej kultury codziennej, dla intelektualistów, dla wędrownych filozofów, dla kupców, dla oficerów polowych, dla delegowanych urzędników państwa, że wszyscy oni muszą się nauczyć umiejętności funkcjonowania także poza swoją ojczyznę – umiejętności, jak wiadomo, wcale nie oczywistej. Kto kiedykolwiek pracował za granicą, wie, że zdolność do życia na wygnaniu to cenna umiejętność, którą trzeba sobie wyćwiczyć. Na ile mi wiadomo, w czasach nowożytnych jezuita byli pierwszą grupą Europejczyków systematycznie przygotowującą do takiego życia – i to za pomocą bardzo surowego treningu psychologicznego; wobec jego wyników my, współcześni, sprawiamy wrażenie bardzo miękkich i rozpieszczonych. Wymagamy, by na delegacji w Singapurze lub Sydney mieć tego samego Hiltona co w Monachium czy Wiedniu. Tego jezuita w tamtych czasach nie mógł oczekiwać, dla niego bowiem wyjazd oznaczał adaptację do najsurowszych nawet warunków, jakie by zastał u celu.

Nowożytna problematyka globalizacyjna zaczyna się w chwili, w której stało się jasne, że formę kuli ma nie tylko niebo, lecz i Ziemia. Chrześcijańskie średniowiecze spowodowało, jak wiemy, pewne opóźnienie kosmologicznego oświecenia i przyjęło osobliwy pogląd, że Ziemię, czy to płaską, czy kulistą, otacza system kulistych powłok eteru.

*Wraz z wyruszeniem wyprawy w sierpniu 1519 roku z Sewilli wkraczamy w problematykę, która zajmuje nas do dzisiaj*

Historyczny przełom wczesnej nowożytności związany z nazwiskiem Kolumba należy bezpośrednio do historii naszych

obecnych trosk. Kiedy Kolumb znalazł drogę do Ameryki, ściślej mówiąc, do Indii, które ku jego zaskoczeniu (rozpoznanemu jednak dopiero pośmiertnie) miały się okazać nieoczekiwanym podwójnym kontynentem pod nazwą Ameryki, wskazał Europejczykom drogę na zachód i udostępnił im Atlantyk jako ich nowe Morze Śródziemne, jako nowoczesne *mare nostrum*. Z tego skoku przez ocean na zachód 15 lat po śmierci Kolumba wyprowadzono konsekwencje dla historii powszechnej – mam na myśli wyprawę Magellana na Wyspy Korzenne (Moluki), która miała się okazać pierwszym pełnym rejsem dookoła świata. W 1519 roku zaczyna się historia, do której ciągle jeszcze coś dopisujemy: hiszpańska Korona wyposażyła wtedy małą flotę pięciu statków z załogą 240–280 ludzi pod dowództwem pewnego portugalskiego renegata.

Wraz z wyruszeniem wyprawy w sierpniu 1519 roku z Sewilli wkraczamy w problematykę, która zajmuje nas do dzisiaj. Co się tam stało? Magellan chciał, w zgodzie z projektami hiszpańskiej Korony, być pierwszym, który płynąc na zachód, znajdzie drogę do legendarnych korzennych wysp. Ówczesni hiszpańscy władcy byli z pewnością równie sumienni jak dzisiejsi zarządcy Bawarii, Saksonii czy Szlezwiku-Holsztyna. Ich ambicją było opanowanie najbardziej interesującego wtedy rynku światowego, rynku przypraw. Jak wiadomo, Europejczycy przetrząsali szeroki świat przede wszystkim dlatego, że byli uzależnieni od przypraw. Pożądali tych luksusowych narkotyków swej epoki i szukali sposobów wyjścia z tego uzależnienia – choć nie przez rezygnację z narkotyków smaku, lecz przez uniezależnienie się od weneckiego monopolu na tym najbardziej interesującym ze wszystkich rynków. Można nawet wysunąć tezę, że handel przyprawami był handlem narkotykami odchodzącego średniowiecza – i trudno się dziwić, że nie tylko same przyprawy, lecz przede wszystkim bajeczny zysk z tego handlu rozbudził apetyty współczesnych. I hiszpańscy

władcy zaczęli marzyć o flotach, których wyposażenie mimo całego ryzyka i kosztów stanowiłoby świetny interes, gdyby tylko udało się dotrzeć do tych tajemniczych Moluków, gdzie można było znaleźć najbardziej pożądane dobra epoki: pieprz, goździki, imbir – afrodyzjaki ówczesnej klasy przedsiębiorców.

Wśród pionierów wczesnej ziemskiej globalizacji wyróżniała się więc grupa kupców korzennych. Ci dalekomorscy handlowcy wierzyli w zdolności rozwojowe europejskiego podniebienia i budowali swoje interesy na przekonaniu, że modernizacja zaczyna się od podniebienia. Duch utopii i przedsiębiorczość są dotąd tożsame, ponieważ stanowią funkcje oralne, obsługują ten sam apetyt otwarcie ukazujący swoje nienasylenie. Sam Magellan zginął podczas niepotrzebnej potyczki na Filipinach. Większość statków jego małej floty padła ofiarą sztormów i buntów, a jedyny ocalały, mała fregata „Victoria”, we wrześniu 1522 roku dotarła z powrotem do Hiszpanii z 18 niemal zagłodzonymi członkami załogi na pokładzie. Zaczumowali w portowym mieście Sanlúcar de Barrameda i samym swoim fizycznym powrotem potwierdzili niezwykle fakty, na których opiera się cała nowożytność: że, po pierwsze, Ziemię można okrążyć, płynąc w jednym kierunku, że, po drugie, tak zwane światowe morza łączą się i można nimi przemierzyć cały glob, wreszcie, że całą planetę spowija atmosfera, którą mogą oddychać europejscy żeglarze – co przed dowodem z doświadczenia wcale nie było tak oczywiste, jak się wydaje z perspektywy czasu. Ocaleni z wyprawy Magellana przywieźli z sobą niemożliwe już do zignorowania świadectwo atmosferycznej jedności powierzchni Ziemi oraz systemu wiatrów i klimatów, który funkcjonuje w pewnych granicach przewidywalnie. Teraz już było wiadomo, że nie tylko można ważyć się na wyprawę w jedną stronę, lecz że powrót także jest możliwy. Istotnie, globalizacja oznacza również to: coraz bardziej ogląda się Europę oczyma powracającego.

To właśnie jest moment, w którym po raz pierwszy daje o sobie znać kwestia umiejscowienia w jej wszechświatowym znaczeniu.

Umiejscowienie bowiem – jak czuje każdy używający tego słowa bez filozoficznego wywodzenia go – jest nie-swojskim miejscem, które w typowo nowoczesny, a nawet rewolucyjny sposób zostało wciągnięte w porównywanie i rywalizację miejsc. Specyficzny dla umiejscowienia nie jest fakt, że się w nim żyje, ponieważ się w nim urodziło – umiejscowienie oznacza przeciwieństwo pierwotnej macierzy. Jest raczej perspektywą na miejsce, jakie się uzyskuje po wykorzenieniu z niego – na miejsce, które się opuściło, by okrążyć świat, i do którego przybywa się ponownie po wykonaniu wielkiej pętli wokół całości.

*Osiągalność jest de facto skrytym i jawnym głębokim tematem współczesnej epoki. Jej wyróżnik polega na tym, że osiągnięci nie są już wyłącznie inni, lecz także my sami*

Przewodnie słowo zatem, jakie się kryje za pytaniem o umiejscowienie, brzmi: osiągalność. Tym pojęciem można objaśnić, dlaczego niezliczone rzesze ludzi w Europie, w

szczególności Niemcy, tak żywo i z takim niepokojem dyskutują o umiejscowieniu: osiągalność jest *de facto* skrytym i jawnym głębokim tematem współczesnej epoki. Jej wyróżnik polega na tym, że osiągnięci nie są już wyłącznie inni, lecz także my sami. Zatem wstąpiliśmy najwyraźniej w drugą fazę historii osiągalności: przez 450 lat dyskutowaliśmy temat osiągalności tylko z perspektywy wyprawy stąd tam i uprawialiśmy globalizację zasadniczo jako europejski przywilej. W procesie globalizacyjnym Europejczycy byli *par excellence*

wyprawiającymi się, opanowali zdolność do pierwszego uderzenia w sprawach globalizacji i w pełni korzystali z prymatu wyprawy stąd tam, nierzadko z gorzkim skutkiem dla poszkodowanych innych; osiągnęli zyski i czuli się prawomocnymi panami globusa. Teraz jednak wkraczają w fazę, w której inni równie dobrze jak oni opanowali wyprawę tam i z powrotem. Odtąd Europejczycy nie są już tylko odkrywcami, lecz także odkrywaniymi, już nie tylko osiągniętymi, lecz także osiąganymi.

Weszliśmy zatem w epokę kontrodkryć i musimy się uporać z tym, że perspektywy stały się odwracalne. Wprawdzie to my najpierw odkryliśmy innych, lecz w międzyczasie oni odkryli nas, i to nie tylko jako pojedynczy turyści, lecz jako masowy napływ poszukujących azylu. Pokazują nam: weszliśmy w epokę kontrosięgalności – to jest *de facto* kluczowy termin. Co dnia wyraźniej okazuje się, że inni nie mają już do nas dalej niż my do nich – i że dotyczy to osób, dóbr i informacji. Z sumy naszych doświadczeń z tym kontrruchem innych rodzi się ta nowa nerwowość globalizacji, w szczególny sposób nas dziś dezorientująca. Czujemy, że epokowe przywileje przepadły i swoje wymogi zgłasza nowa zasada rzeczywistości. Dzięki wyprawom stąd tam, dzięki globalizowaniu w aktywnej fazie Europejczycy, jeśli oceniać całość, poczynili bardzo korzystne doświadczenia i teraz zadają sobie pytanie, czy także w przyszłości pozostaną ich własnością typowe korzyści globalizacyjne. Okres samokrytycznego namysłu nastął dla nich w momencie, gdy musieli zmierzyć się z niesprawiedliwością poczynań imperializmu i kolonializmu. Muszą teraz tolerować kontrruch, który sami wywołali i sprowokowali.

Jeśli spojrzeć wielkoobszarowo na proces globalizacji, uwidacznia się sytuacja, w którą musimy się zagłębić o wiele bardziej zdecydowanie niż dotąd nie tylko z powodów gospodarczych, lecz także przez wzgląd na moralną odpowiedzialność za proces światowy. Europejczykom niezbędny jest namysł o wiele głębszy niż tylko nad zwykłą 500-letnią historią globalizacji. Muszą w czasach kontrruchu i kontrościągalności – a więc migracji na ich rodzime tereny – wrócić pamięcią do swego najpierwotniejszego projektu. To zaś najlepiej zrobić, podejmując problem, który zaczął się w Sewilli w 1522 roku.

Wówczas to w chwili, gdy Ziemia została okrążona i gdy powracający przybyli do swojego miasta, po raz pierwszy rodzime miejsce zmieniło się w umiejscowienie. Kapitał podejmuje ze swego umiejscowienia drogę wokół Ziemi i wraca z przyrostem na swoim wyjściowym koncie: jest to podstawowa figura kinetyczna epoki globalizacji. Niewątpliwie Karl Marx nieco zbyt jednostronnie opisał ruch kapitału, gdy przedstawił ów ruch jako klasyczną przemianę towarów: od formy pieniężnej do towarowej i z powrotem do pieniężnej. W jego ujęciu turystyczna, by tak rzec, część wędrówki dusz wartości wypada niewystarczająco. Dziś wyraźniej widzimy, że długie drogi kapitału stanowią o sekrecie wewnętrznego związku między waloryzacją kapitału a globalizacją. Interes przyprawowy z wczesnej nowożytności jest tu paradygmatyczny: kapitał handlu przyprawami, aby się zwaloryzować, musi *de facto* obieć cały globus, podczas gdy metamorfoza pieniądza w towar następuje na Molukach, tzn. w kraju, w którym rośnie pieprz.

*Dziś wyraźniej widzimy, że  
długie drogi kapitału stanowią  
o sekrecie wewnętrznego  
związku między waloryzacją  
kapitału a globalizacją*

Zglobalizowany  
kapitał to pieniądź,  
który do swojej  
waloryzacji  
potrzebuje pełnego  
okrążenia Ziemi. To  
ważna obserwacja,  
która odzwierciedla

już prawdę wczesnego XVI wieku. Trudno przecenić znaczenie tego faktu. Chciałbym Państwu opowiedzieć w tym kontekście anegdotę, która nie tylko wyraża chaotyczny charakter wczesnego globalizowania, lecz także pozwala zanegować często wypowiedaną tezę, jakoby światowa gospodarka dopiero w ostatnich dwudziestu latach popadła w wir spekulatywnych ruchów pieniądza. Z tej historii wynika, że jest to w najlepszym razie półprawda. W 1529 roku portugalski król Jan III i cesarz Karol V zawarli godny uwagi traktat, który wszedł do podręczników historii jako układ z Saragossy. Ważną część tego układu stanowiło porozumienie w kwestii wspomnianych tu już kilkakrotnie Wysp Korzennych. Z pomocą swoich adwokatów Karol wywarł taką presję na swojego portugalskiego rywala, że ten wykupił roszczenia Hiszpanów do Wysp Korzennych za 350 tys. złotych dukatów – których przewiezienie z Lizbony do Madrytu wymagało długiej karawany mułów. Na jakich przesłankach opierała się ta zapłata? Oczywiście na tych, że żadna ze stron nie miała pojęcia, czyją własnością są te wyspy, ponieważ żadna nie bardzo wiedziała, gdzie one leżą. Co jednak oznacza „własność” w przypadku wysp, o których wiadomo tylko tyle, że muszą leżeć gdzieś na antypodach i że zamieszkują je ludzie, którzy uprawiają i zbierają pieprz, ten pieprz, bez którego Europejczycy po prostu nie mogą żyć. Układ z Saragossy jest dobitnym dowodem na z gruntu spekulatywny charakter już – czy zwłaszcza – wczesnego

kapitalizmu państwowego. Dwaj królowie straszą się wzajem jak pokerzyści, aż jeden traci nerwy i przeobraża się w kupca. Był to największy ruch spekulacyjny XVI stulecia – ruch tym bardziej interesujący, że na mocy traktatu z Tordesillas (1494), to znaczy podziału świata między Hiszpanów i Portugalczyków, Moluki i tak należały do portugalskiej części świata, czego jednak wówczas z braku wystarczająco dokładnej miary długości geograficznej po drugiej stronie globusa nie można było jeszcze wiedzieć na pewno. Dziesięć lat później udoskonalone pomiary długości geograficznej jednoznacznie to wykazały i Karol V musiał się jeszcze długo naśmiewać z wybuchów wściekłości swojego królewskiego kolegi.

Po tym anegdotycznym przykładzie wracam do swojej tezy: Europejczycy nie mogą się wyprzeć odpowiedzialności w kwestiach globalizacji. Nie mogą teraz biadolić, jeśli przez pięćset lat z upodobaniem grali rolę mocarzy. Taka defensywna postawa byłaby nie tylko niegodna, lecz także błędna, i to zarówno w historycznym, jak też w politycznym i ekonomicznym aspekcie.

Na zakończenie swoich rozważań pozwolę sobie dołączyć garść bardzo ogólnych uwag o socjopsychicznych skutkach globalizacji, jakie się uwidaczniają na przykład w falach migrantów. Byłoby niesłuszne nie traktować naprawdę poważnie zaniepokojenia ludności europejskiej tymi procesami. Chodzi w sumie o pewien kryzys – kryzys socjopsychiczny i kryzys dość głębokich form życia. Nie jest bowiem łatwo transformować człowieka narodowego w postnarodowego. Przez człowieka narodowego rozumiem pewien charakter społeczny, który powstał w Europie w ciągu ostatnich dwustu lat i dla którego życie w formach państwa narodowego stało się drugą naturą. Chodzi przy tym o ludzi, którzy odbierają swój kraj i naród jako pojemnik o grubych

ściankach – o osoby zwykle znające tylko jeden język, trzymające się ziemi, wernakularne, jak mawiał Ivan Illich, w domu we własnym kącie i wierne dialektowi życia kwitnącemu tylko tam i nigdzie indziej. Jeśli od takich osób zażąda się, by z dnia na dzień uznały one forsujących pojemnik poszukiwaczy azylu za logiczną część globalizacji, to trzeba się liczyć na początku co najmniej z niejakim wahaniem.

*Dziś w obliczu wędrówek do krajów europejskich konfrontujemy się ze stosunkami, w których społeczne i polityczne systemy immunologiczne w nieoczekiwany sposób załamują się*

Panie i Panowie,  
pozwolę sobie zakończyć te rozważania tezą, że żyjemy dziś w dramatycznym kryzysie przeformatowania. Tak zwana globalizacja bowiem ma dla obywateli państw narodowych

taki oto skutek, że przeorientujemy społeczeństwo grubych ścian, można by też rzec: społeczeństwo ciasnego pojemnika, w formę życia, którą wypadaloby określić jako „szczególnie cienkościenną”. Inaczej mówiąc, wkraczamy w epokę, w której wyróżnikiem systemów społecznych będą słabe granice i przepuszczalny naskórek. Oznacza to przede wszystkim, że musimy wypracować pogłębione rozumienie ludzkich potrzeb nietykalności i tożsamości – potrzeb jednostek, które swoje immunologiczne optimum, jeśli chodzi o ich społeczne definicje, znajdowały dotąd w regionalizmie i nacjonalizmie, to znaczy w relatywnie ciasnych społeczeństwach-pojemnikach, gdzie panowała wiara, że granice własnego państwa narodowego należą do osobistego systemu immunologicznego jednostek. W takich formacjach

społecznych nasuwało się, by na wszystko obce reagować *a priori* odpowiednio wybiórczo. Dziś w obliczu wędrówek do krajów europejskich konfrontujemy się ze stosunkami, w których społeczne i polityczne systemy immunologiczne w nieoczekiwany sposób załamują się – z tym skutkiem, że poszukiwanie tożsamości i nietykalności musi się coraz bardziej przestawiać z kolektywistycznych strategii na indywidualistyczne.

Widzimy, jak część ludności reaguje na ten drażliwy temat w sposób, który najlepiej opisać w optyce alergologicznej lub immunologicznej. Takie reakcje trzeba traktować poważnie, ponieważ dziś na szerokim froncie chodzi o to, by ludzką nietykalność przeprogramować z orientacji na wszechobejmujące państwo opiekuńcze w kierunku samoochrony i troski o siebie. Jeśli obywatele tradycyjnego wszechkompetentnego państwa opiekuńczego oczekiwali ochrony przede wszystkim od jego działań porządkowych i zaopatrzeniowych, to na przyszłość realistyczne jest stawianie w rosnącej mierze na własne działania służące osobistej ochronie. Coraz więcej osób pojmuje, że nikt nie zrobi dla nich więcej niż one same. Można prognozować, że immunologiczne problemy w najszerszym sensie tego słowa, od biologicznej po społeczną i duchową sytuację jednostek, trzeba będzie w przyszłości rozwiązywać mniej na zbiorowym, a bardziej na indywidualnym poziomie. Ta rzecz napełnia dzisiejsze społeczeństwo dużym niepokojem co do jego przyszłych stanów. Jeśli chodzi o sferę polityczną w całości, to tym lepiej będzie ona wykonywać swoje zadania w zmienionych warunkach cienkościennego świata, im skuteczniej zdoła oprzeć się presji, jaką będzie na nią wywierać pobudzone społeczeństwo życzeniowe.

*Peter Sloterdijk*

Fragment pochodzi z książki Petera Sloterdijka *Co się zdarzyło w XX wieku?*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Aletheia